Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

No. 17. POZNAŃ, DNIA 24. KWIETNIA. **1843.**

POEZYA.

NOWE JERUZALEM.

Psalm.

Gdy się na Lud Twój, Panie, zagniewałeś srodze, —
Jeruzalem runęło w perzynie, w popiele,
Chwasty trujące rosły na publicznéj drodze,
A matkom rwali dzieci z łon nieprzyjaciele,
Przecież litośny byłeś, gniewyś swe uśmieżył,
I wrócił do wielkości, Lud, który już nie żył:
Nas tylko, — raz za grzechy gdyś popchnął ku grobu,
Nie dobijasz, ratunku nie dajesz sposobu.
W ojcach naszych karałeś ojców jeszcze winy, —
Czyż będą za nich cierpieć synów naszych syny?
Wiek już Twojéj litości błagamy w pokorze,
Zostałżebyś tyranem dla nas i Ty, Boże!

Nad Jeruzalem, gdy się do upadku schyla,
Nastroiwszy żałośnie harfę Izrafila,
Jeremiasz, prorok święty, śpiewał, z Ludem płakał:
A nas, czy aż do tyla oszpecił już zakał,
Że nam płakać niewolno w ojców mowie, wierze?
Jakiż Lud tkliwszéj modły dla Ciebie dobierze?

Kędyż nasze najczystsze zagnane dziś cnoty?
W cudze stepy, lub w piekło z lodowémi wroty.

Powróć ten powab ziemi, co ją wdzięczył z młodu,
Niech toną lody! ogniem Edenów ogrodu.
Lub, jeźliś zbył co z siły i wiekami zstarzał?
To złóż rządy! niech Stwórcę stworzenie poprawi,
Cząstką Twéj mocy hidry tebym upokarzał,
A Bóg cierpi, że we krwi kilka rąk się pławi!

Miliony serc cnotliwych wielbią Twe ołtarze,
A szatan torturami za modły ich karze:
Rok szósty.

Jeśliś zamyślił wspierać swego wroga ramię,
To jest nam nieomylnym znakiem świata końca;
Wnet firmament postawisz przy Haosu bramie,
By pogasić te światy, jeniusze słońca.

Boże! więc własném dziełem tak rychłoś się znudził..
Tysiące lat istnienia były tylko probą,
A ileż się to duchów dźwignęło za Tobą!
Czas byłby Ci mirjady jeszcze ich rozbudził.
Nie! Tyś jest Bogiem łaski, Ty Bogiem nadziei,
Nie wytrącisz więc człeka z istnienia kolei;
Jeniusz, co raz silnie swe loty rozwinął,
Nie jest cackiem w Twéj dłoni, stworzony, — by ginął.

Bluźniercze me szemrania. Dzisiajszéj sromoty,
W jakąś ród ludzki podał, cel mi niezbadany,
Może hart ten ma krzepić jeniuszów loty?
Jeźlim odgadł... Duchy w lot! Boże! krusz kajdany.

Poznań, 4. Marca 1843 r.

Szczęść Boże.

Kto jeno spojrzał z doprawdy na rozwijającą się dzisiaj literaturę naszą, bez trudności postrzegł, iż ona ku nowéj drodze się ma, i puszcza się rzesko i ochoczo w strony dotychczas dla niéj obce. Piśmiennictwo stanęło na progu nowéj epoki; a jeżeli prawdą jest, iż ono jest najpewniejszym termometrem duchowego pierwiastku każdego kraju i narodu, więc też z przeobrażenia się tego piśmienictwa sądzić z pewnością można, iż i we wnątrzu téj publiczności czytającéj i piszącéj gotuje się ważna odmiana. Jakoż książki i autorowie sąto jedynie skazówki zégaru i dzwonki, co przy każdéj nowéj godzinie posuną, odezwą, poruszą się; a myśl, uczucia i dusza publiczności, to są kółka, sprężyny i śróbki, co nie-

widzialnie poruszają one skazówki i dzwonki. Otóż byleby się znać trochę na cyfrach, i umieć liczyć uderzenia dzwonków, a już też łatwo poznać można godziny i minuty święcące się w sercu i myśli ludzi. Rozumiem, iż nam nie potrzeba wyliczać tych zjawisk, są one zanadto jasne, by uszły czyjéjkolwiek bąć uwagi. Przecież najważniejszym symptomatem ukazującym się dziś u nas w świecie naukowym, jest nabranie jakiéjś powagi, jakaś chęć prawdy, tęsknota do treści rzeczywistéj, brak lekkości, wpatrywanie się w głąb' rzeczy, pragnienie jakichś fundamentów pewnych, na którychby się oprzeć można. A zapewne nikomu też tak tych podwalin silnych nie potrzeba, jak naszéj literaturze, bo my to stoimy jakby na wydmuchach wiatrów, co szorują od wszystkich stron świata. To zawieją wyobrażenia staro-francuzkie, to słowiańszczyzna, to znów tak przeważna literatura niemiecka zakłada panowanie swoje, to znów pojęcia nowéj Francyi wypływają na sposób zapatrywania się naszego; bo te wszystkie literatury mają głos między nami,—a cóż dopiero i wychowanie tak różne, tak pstrobarwne! Gdy jednych hoduje Francuz, drudzy pracują lub nie pracują na uniwersytetach i gimnazyach niemieckich, inni wychowują się we Fryburgu, inni w Anglii, także we Florencyi, a inni wcale się nie wychowują. A choć, chwała Bogu! wielka liczba cząca bogi domowe uczy się od swoich, między swoimi, ale to znów w takiéj ciasnocie stósunków żyje, tak jest ograniczona, zwłaszcza niedostatkiem materyalnym, iż z téj zaduchy trudno się wywinąć z całém zdrowiem umysłowém, i z potęgą w naukach.

Ta różnica atoli nie tylko idzie miastami, ale ba, znajdziesz w téj saméj rodzinie synów, co wychowuje się każdy z osobna na czterech krańcach świata. Każdy znać bity innym stęplem, z inną twarzą, jak moneta kantonów szwajcarskich. I potrzeba policzyć, na karb wrodzonego sposobu rzeczy, zdolnościom naturalnym, iż z téj rozmaitości nie zradza się zamieszanie i budowanie babilońskie.

Jeżeli tedy komu, to nam; a jeżeli kiedy, to dziś nam potrzeba onych podwalin budowy dla literatury naszéj. I dawniéj nie bywało inaczéj, i dawniéj taż sama była potrzeba; ale w tém nam niby lepiéj, iż my wiemy, czego nam brak. Otóż ta potrzeba tych fundamentów powszechnych, zrodziła chęć ogólną i tęsknotę do filozofii. Filozofia ma nas uleczyć, ma nas postawić na nogi. Istotnie nie ma nic tak zajmującego, jak porównanie dzisiejszych wyobrażeń z onemi, które obieg miały lat temu kilkanaście. Dziś często a gęsto usłyszeć można, nawet od ludzi, którzy nigdy nie uczyli się filozofii, zdanie, iż filozofia nam będzie zbawicielem w tém rozsypaniu naukowém, a rozwiązaniem trudności wszystkich. Jakoż z tą tęsknotą ogólną, wyrosłą po wszystkich stronach kraju naszego jak poziomki na wiosnę, książki filozoficzne, filozofujące, i artykuły ulotne o filozofii — zjawisko osobliwe, zupełnie nowe u nas! Patrząc się na tę dążność, nawija się nawet mimowolnie pytanie: dla czegóż tak dawniéj bywało? czyliż my nie mieli tego ducha abstrakcyjnego, którego wymaga filozofia? albo téż, jeżeli był, dlaczego on nam się nie okazał na jawie?

Na pierwsze trudno nam się zgodzić. Istota myślenia abstrakcyjnego, tak ściśle jest połączona z naturą człowieka, iż mu nigdy na niéj brakować nie może. Być człowiekiem, jestto być istotą rozumną; być istotą rozumną, jest to samo, co czynić abstrakcyą. Zwierzę trwa w szczegółach, mając każdy z nich na baczności; człowiek z tych szczegółów tworzy sobie wyobrażenie ogólne; aby zaś tego dokonać, musi się oderwać od szczegółów. Wszak mowa ludzka byłaby rzeczą niepodobną bez abstrakcyi. Prawda, że nie każde czynienie abstrakcyi stanowi filozofią; bo filozofia potrzebuje i formy swojéj osobnéj, jak potrzebuje własnéj treści. Tak bardzo często można książki spotkać mające treść istotnie filozoficzną; naprzykład, gdy rozprawiają o Bogu, nieśmiertelności i przeznaczeniu człowieka, o świecie, i tym podobnych przedmiotach, a przecież te książki nie będą mogły mieć pretensyi, by były filozofiami. To wszystko prawda, ale też zaprzeczyć nie można, iż na tym gruncie abstrakcyjnym rośnie filozofia; są to soki, jakie ona do życia swojego bierze. Ten grunt tedy u nas, jak u każdego narodu, istniał; te soki były zawsze, więc pytanie, w jaką roślinę, w jaki kwiat one się u nas obróciły? Materyał do filozofii istniał, ale jakąże u nas nabrał postać?

Uważmy, że ta postać tak rozmaita bywa, jak różne są usposobienia ludów; dążności wrodzone człowiekowi do abstrakcyi, nie zawsze stają się filozofią: owszem, filozofia jest najwyższym szczytem téj dążności, ostatecznym jéj końcem. Ona się nie w każdym czasie, ani nie u każdego narodu rozwinąć może; na miejscu jéj znachodzimy inne zjawiska, zastępujące niby filozofią; a to zastępstwo tak jest różne, tak wielobarwne, jak tworów materya, i dzieje różnych ludów i wieków. Abstrakcya, nim filozoficznie przez naród użytą będzie, okaże się w różnych kształtach.

Ta abstrakcya, ten rozum, mając powołanie porządkowania szczegółów, przez zmysły uczucia nam podanych, jest pierwiastkiem odrywającym od powszedniéj rzeczywistości ponad zaduchę zjawisk. Tak gdy lud jest ciemny w sobie i głuchy, tém wznosi się nad rzeczywistość, iż wierzy w gusła i czary; jest to świat nadzmysłowy, barbarzyniec instynktem przeczuwa, iż prawdy téj gołéj rzeczywistości się kończą, że to wszystko, co mu pod zmysły podpada, nie jest szczytem człowieka. Czyli Włoch umiera z pędzlem w ręku, przelewając z duszy swéj i życie w postać Madonny; czyli Anglik zapuszczając się w ślepe pustynie Afryki, kona na skwarnych piaskach, szukając drogi nowéj dla handlu swojego; czyli Krzyżowiec tonie we krwi swojéj, chcąc zdobyć grób Chrystusowy; czyli Francuz umiera za pojęcia swoje polityczne, lub Niemiec schnie w bezseniu i o głodzie nad książką hebrajską; zawsze i zawsze będzie to trud i praca, uzacniająca ród ludzki. A ta dążność nie przestawania na rzeczywistości jest chwałą jego; i czyli z onych prac a trudów wyrasta gałąź palmowa, czyli się złoży wieniec cierniowy, czyli róże zakwitną, lub wawrzeń zazieleni, zawsze to będzie na ozdobę jego. Bo też jakakolwiek go treść porywa, byleby przejęła serce jego dobrą wiarą i poświęceniem, zawsze będzie uzacnieniem jego istoty. A słabości fanatyczne i zawroty umysłowe dostają rozgrzeszenie, byleby uświęcone były serdeczną wiarą i krwią choćby jednego człowieka.

I w dziejach naszych niby krwawa nić splata się jedna myśl, jedna idea ogólna żywota kraju naszego. Wyrosła ona na téj saméj ziemi, na któréj poczyna się filozofia w najściślejszém znaczeniu tego wyrazu. Niéma może umiejętności, któraby tak rozmaicie rozumiano, któraby do tak rozmaitych tłumaczeń dodawała osnowy, jak właśnie filozofia. One wszelkie rozumowania, teorye, budujące się z osobistego sposobu zapatrywania się na rzeczy, także filozofiami nazywamy. Tym sposobem mówimy o filozofii Seneki, Cycerona; tym też trybem pisarzy, którym niby przypisują rewolucyą francuzką, także filozofami nazywają, niby encyklopedyści z całym dworem swoim. Tak książka we formie rozumowania spisana, dawała imie: *filozofowa*. I po części słusznie; ale dziś rzeczy się zmieniły zupełnie: bo dzisiaj nietylko żądamy treści filozoficznéj, ale żądamy także, aby ta treść roztaczała się trybem istotnie filozoficznym, trybem sobie właściwym. A jak siła i przyrodzona zręczność nie jest jeszcze sztuką robienia szablą, sztuką krzyżową; jak mówienie nie jest wymową, tak też rozumowanie nie jest jeszcze roztoczeniem filozoficzném treści. Tak pojmujemy dziś filozofią, a taka też jéj będzie u nas przyszłość; tak ją już pojęli Niemcy, a oprócz nich żaden jeszcze naród.

Skłonność wrodzona, wątłe związki porozdzielanych części, a zatém osłabienie sił politycznych, a z tąd zachowanie się bierne w historyi; nie używanie brzegów morskich, wynoszących człowieka na zewnątrz; brak życia publicznego; to wszystko i wiele niezliczonych przyczyn, silny wywarło wpływ na cofnienie się na wewnątrz ducha u Niemców, zebranie się ich w sobie, aż z wnętrza ich życia wyskoczyła idea filozofii, im dziś tylko właściwa. Ich kraj stał się ojczyzną teoryi i filozofii. U nas zaledwie ona raz błysła, gdy pisma ascetyczne, kłótnie z różnowiercami, zajęły jéj miejsce, a w końcu zeszłego wieku i na początku bieżącego, wprost nie było czasu myśleć o filozofii; nie stało tchu, a nastały chwile cichéj kontemplacyi i spokojnego dumania. Wielkie wydarzenia zewnętrzne parły ducha na zewnątrz, a literatura występowała z siebie, obecność ją porywała; a pierwiastek abstrakcyjny, odrywający człowieka od rzeczywistości, unoszący go z sobą, zjawił się tedy nie w kształcie filozofii, ale we formach nadziemskich poezyi; albo odziewając się we formy umiejętne, przybierał na się postać matematyki, onéj filozofii w liczbach, umiejętności najabstrakcyiniejszéj: a zdolności u nas tak powszechne do téj umiejętności są jasnym dowodem, iż i filozofia będzie miała z kogo rość i rozkrzewiać się. Matematyka témci więcéj się u nas przyjąć musiała, iż gdy całe ostatnie dzieje, zwłaszcza czasy Wielkiego księstwa warszawskiego, były czasem partym przez wypadki, a zatém czasami zupełnie praktycznemi; cóż dziwnego, że umiejętność choć tak oderwana jak matematyka, mając jednak tak bogate zastósowanie swoje w życiu rzeczywistém, rozpostarła się między nami, zwłaszcza, iż wzorami naszemi byli Francuzi, co tak celowali w téj umiejętności. Nie ma tedy i nic dziwnego, iż wszystkie tęższe głowy uderzyły w matematykę. Oną czasu tego jest już Śniadecki. Ta dążność tak właściwa, będąca charakterem całéj epoki, wywarła silny wpływ swój, i zrodziła nie mało skutków. Język nabrał zwięzłości, czystości, i stał się przejrzystym; jasność stylu było jedno, co jego doskonałość najwyższa. Matematyka położyła też fundamenta do gruntowniejszéj uprawy nauk przyrodzonych i do zasmakowania w nich; a co więcéj, umysł zaprawiwszy się na matematyce, onéj logice w liczbach, przygotował się do filozofii. Tak jak młodzież uczy się matematyki nie tak dla tego, aby ją kiedyś w życiu zastósować; nie dla tego nawet, aby

ją pamiętać, ale w tym raczéj celu, by myśl wyrobić, uczynić ją bystrą i zwinną. Wszakož jak każde jednostronne zdanie ciągnie za sobą obłędy, tak téż ta dążność ku matematyce miała téż przywary ważne. Bo umysły patrząc się na te ściste wyraźnéj pewności formy matematyczne, ogłosiły ją za jedyny a najważniejszy pierwiastek wszelkich nauk. Uważano, iż ona zamyka w sobie cały świat abstrakcyjny, iż tu koniec i początek wszelkich pojęć nadzmysłowych; a co sięga po za matematykę, a jest jest jeszcze abstrakcyą, to tylko ułudą być może, marzeniem bez treści, a takiém téż jest i filozofia. Wyobrażenia takowe zamienione niby w cyfry, objęte formułami, wyrodziły się na ociężały pedantyzm i jałowy despotyzm w naukach. Co występowało z kółka raz przyjętych pojęć, zdawało się błędne i bez treści i mylne. We filozofią, w poezyą, wprowadzono formuły; co się do nich zastósować nie mogło, co w nich pomieścić nie mogło, nie miało wiary. Ot okres téj matematyczności w Polsce, był téż zarazem okresem klassycznym.—Samowładnością sułtana Śniadecki władał berłem żelazném literatury w Litwie, a tém bardziéj, iż od pierwszéj młodości swojéj wmawiano w niego nadzwyczajną gienialność, dającą się postrzedz wśród powszechnego ubóstwa umysłowego, które uważało go za pochodnię umiejętności, głaskało jego dumę. I takim on téż był; dymy kadzideł owiały go zewsząd obłokiem.

A przyznać téż Litwie należy, iż nigdzie nie oddawano chętniéj czci należącéj się naukom, jak tam; że nigdzie więcéj nie poważano zasługi z nauk płynącéj: a stan nauczycielski nigdzie bogaciéj nie był wynagradzany poszanowaniem, jak w Wilnie. Z niesłychaną precyzyą, z wielką poprawnością języka roztacza Śniadecki rzecz w swych księgach: a lubo w nich nie ma i iskry imaginacyi, ani iskry ciepła, mroźne zimno przejmuje jego dzieła, przecież i on ma wielkie i ogromne zasługi w literaturze, których mu zaiste nikt dotknąć nie zdoła. Ale gdy świat się z gruntu przeistoczył, gdy głosy poezyi, jak gdyby skowronków drużyna, głosiły sercom i myślom wszelkim nową epokę w dziejach ich, poezya romantyczna nawiązała nowe i wdzięczne struny na dawnéj jéj harfie, i jak gdyby głosami innych światów budziła ludzi. Stare, przedawniałe wyobrażenia, nie chciały z razu ustąpić; zwolenników ich skropione wodą, którą nowa wiara uświęciła, po wielu trudach nareszcie zły duch uleciał; on duch, co dawniéj był dobrym, lecz pychą i zatwardziałością serca stał się złym. A przy téj epoce stało się to, co się zawsze dzieje, gdy burzą dawne gmachy, spiesznie stawiając nowe, a przepomniano, iż tam w tych gruzach były niejedne piękne odrzwia, kolumny, rzeźby i stare obrazy, które uczcić wypadało było. Ten świat stary, klassyczny, ma wielkie swoje piękności. Może naszym czasom wypadnie oddać, co się komu należy. Ale w onéj epoce bez czucia lada ulicznik literacki rzucał kamieniem w okna literatury klassycznéj, a gdy się ktoś z Rassynem odezwał, wołano nań jak na wilka.

(*Dokończenie nastąpi.*)

Do historyi dawnéj Polski.

(*Ciąg dalszy.*)

Commissia na Ewakuacią Krakowa r. 1659. (*)

Jan Kazimierz, z Bożéy łaski Król Polski i t. d.

Wielmożnym, Vrodzonym, Ianowi Wielopolskiemu, Kasztelanowi Woynickiemu, Warszawskiemu Staroście Naszemu. Vr. Lubowieckiemu Chorążemu, Hieronymowi Smiotance Podsędkowi, Vr. Rupniewskiemu Woyskiemu Krakowskiemu, Vprzeymie y Wiernie Nam Miłym Łaskę Naszę Królewską. Wielmożni, Vrodzeni, Vprzeymie y Wiernie Nam Mili. Poniewasz Cesarz JMĆ. z zwykłego przeciwko Nam y Rzeczyptey Korony Polskiey affektu, iako w wielu okaziach, wielką Nam y Koronie Naszey Swoie wyświadczał propensią, tak y terasz ochotnie się przez pisanie y przez Posłów swoich przy Boku Naszym natenczas będących deklarował, że Praesidium z Stołecznego Miasta Naszego Krakowa chce sprowadzić. Tedy, aby y Praesidium tameczne, według Vmowy z Cesarzem JMcią w praetensiach swoich vkontentowane bydź mogło y Obywatele pomienioney Stolice Naszey praejudicium żadnego y vciążenia nie ponieśli, Zleca-

---

(*) Gdy w czasach wojen szwedzkich, za panowania Jana Kazimierza, najezdca kraju, Jerzy Rakoczy, książę siedmiogrodzki, w Brześciu i Krakowie osadził był swoje załogi — przybyły do Polski przyobiecane traktatem zawartym w Wiedniu 1657. r. posiłki od cesarza w 16,000. wojska, pod kommendą księcia Hatzfeld, który niezadługo Kraków z rąk Rakoczego oswobodził. Po ustąpieniu nieprzyjaciół, wyszły i wojska cesarskie z stolicy, przyczém wyznaczona *kommissya* do obrachunku umówionych dla tegoż wojska należności, to jest hiberny i żywności.

my to Vprzeym. y Wiern. WW. iako ludziom functyi publicznych dobrze wiadomym, abyście do Krakowa ziechali, y tam facto calculo z Commendantem Cesarza JMci Krakowskim y Officyerami iego, wszystko to sedulo y wszelką pilnością connotowali, co im ex aequo et merito przychodzi. Chcemy iednak mieć po Vprz. y Wiern. WW. y onych obligamus, abyście prospiciendo indemnitati Reipublicae y Stolice Naszéy, ea qua par est diligentia, z Nimi postąpili, y to w Consideracią Swoie wzieli: Pierwsza. Żeby Artyleria in toto tak oddali, iaką od Commissarzów Naszych przy odbieraniu Commendy odebrali. Druga. Żeby munitią do niey należącą, iako to: lonty, prochy, kule, y insze requisita, tak iako po Szwedach odebrali, zostawili. Gdysz, ieżeliby defekt w tym był iaki, szkodowaćby znacznie Rzeczpospta musiała. Potrzecie. Osobliwy y na to Vprzeym. y Wiern. WW. przy tey Calculatiey respekt mieć potrzeba, że Kawaleria ich na Praesidium tamecznym zostawaiąca, ieszcze w Roku przeszłym 1658. z Krakowa wyszła, y nie mało okrom tego ex praesidianis vbyło. Czwarta. Więc zatym snadnie to sub calculum Vprzeym. y Wiern. WW. cadet, iako wiele Porcyi za vbyciem ludzi ich vbyć miało y vbyło, et per consequens, iako wiele stipendia im przychodzi, kiedy pomienionych Porcyi na absentes rachować nie będą, tylko na tych, którzy re ipsa continue praesentes in Praesidio zostawali, albo kiedy te Porcie im potrącone będą, ieżeli które na tych, których nigdy nie było, albo wyśli, albo poumierali, wybierali. Piąta rzecz, do vwagi Vprzeym. y Wierności WW. podaiemy, abyście serio inquirere chcieli o długach wszystkich, które Praesidiarii lub u Kupców pro vtensilibus, lub Przekupniów pro comessalibus, albo u kogokolwiek zaciągnęli, y tę zcomputowawszy, pilnie około tego chodzili, żeby to Skarb mógł przeiąć y Praesidiariis potrącić in solutum, cum ea Assecuratione tym Creditorom, że im to skarb w inszych Podatkach przyimie, albo gotowizną zapłaci. Caetera prudentiae et dexteritati probataeque fidei Vprzeym. y Wiern. WW. zalecamy. Co wszystko z powinności swoiéy dla miłości Oyczyzny y Łaski Naszey Vprzeym. y Wiern. WW. vczynicie. Dan w Warszawie Roku 1659.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Miłość i cyrograf.

(Powieść fantastyczna.)

(Ciąg dalszy.)

„„„Byłoby nie od rzeczy,““ rzekłem, nie zważając na częste jego przejścia do Aglai i Laury, „„„byłoby nie od rzeczy, abyś mi dał wyobrażenie o szczęśliwéj owéj dziewicy, na którą padł twój wybór, inaczéj mogę coś chybić i zamiast czarnych wzdychać do niebieskich oczu. *Est mondus in rebus, sunt certi denique fines.* A z resztą nie zgaduję....““

„Zapewne, bo gdybyś zgadł Henryku, więcéj niż ja wiedziałbyś o téj przyszłości, w którą na łeb się rzucam, uchodząc przed teraźniejszością... Gdybyś odgadł, prosiłbym cię o wymienienie tego przedmiotu mojéj pierwszéj rozsądnéj miłości, o którym ja sam nie wiem. Lecz nie tego ja, nie tego, żądam od ciebie, chodzi tu o to, abyś mi napisał okólnik miłosny, w słodkich ogólnych wyrazach, któryby do każdéj piękności dał się zastósować; słowem, niech to będzie wytrych do każdego serduszka. Mów o cnocie, o wdziękach, o przymiotach duszy, lecz się strzeż wspomnień o kolorze włosów, bo to mogłoby nas kłopotu nabawić. Utwór twój z największą potém dokładnością na angielskim welinie przepiszę; poczcie i gwiazdzie mojéj powierzę wszystkie nadzieje, a tak zacny mój stryjaszek, co mię tak napędza do żony, nie będzie mi nic miał do wyrzucenia, jeśli go przekonam, że od pięćdziesięciu dostałem odkosze. Albo też, jeśli los przyjażny rzuci mię w objęcie jakiego bóstwa, wtedy i ty pójdziesz w moje ślady, może lepiéj odemnie wybierzesz; nie prawdaż? ty masz tak szczęśliwą rękę.“

„„„Daj folgę żartom,““ odpowiedziałem z goryczą, „„„jabym miał myśleć o żonie! ja nieznający żadnych widoków do jakiéjkolwiek puścizny!““

„Cóż znowu! i ta bagatela miałażby tak ciężyć ci na sercu? Wierzaj mi, przy pierwszym djabełku stawię moje przyszłe dziedzictwo przeciw twemu koniowi, lub przeciw Aglai, która, patrz, jak słodko z za kulis spoziera na ciebie....“

„„„Konia wczoraj sprzedałem, Aglają, jeśli chcesz, bierz sobie, a list, gdy pomyślę, napiszę.““

Odtąd bywaliśmy na teatrze, lecz coraz rzadziéj, i to więcéj z nałogu, niż z potrzeby. Fortunat w postępowaniu swojém zachowywał ton nadzwyczaj przyzwoitego sęsata, utopionego najczęściéj w głębokiém dumaniu; zachodziłem w głowę, z kąd ta w nim odmiana, gdzie mógł znaleść tak odważną, czy tak ła-

twowierną kobietę, którąby jego niepodobnym do uwierzenia wyznaniom dała wiarę? Co do mnie? jak wiadomo, silny łańcuch przykuwał mię do teatru i niestety kolosalna moja pasterka, nie runęła jeszcze ciężarem swoim, jak duch w Hamlecie z deskami rusztowania, i nikt się na nieszczęście nie zjawił taki, coby mię z jéj względów wysadził, a jednak był to piękny czas przechodu wojska. Już, już wyciągałem ręce do nadziei za przyjściem pułku ułanów, błyszczącego szlifami, okrytego kurzem chwały; śnie zwodniczy!.... po nich przyśli huzary, owe motyle rozkoszy i woni, goniące wszędzie za zdobyczą, ale żaden ani skrzydełkiem nie tknął mojéj Aglai. Na próżno liczyłem na doświadczone męztwo kirasyerów. Aglai, w ciągu téj długiéj próby, dochowała mi wierność swoją bez skazy, z wszystkiemi do wzajemności prawami. Była to stałość niepokonana. Ile zapamiętać mogę, ze wszystkich przeciwności, jakich w moich romansach doznawałem, nic mię tyle nie pobudzało do samobójstwa, co jéj wierność nieustraszona.

W końcu szukałem lada pozoru, ażeby mnie od tego świata, gdziem tak obszernie panował, i rzecz dziwna! najczystsze z moich moralnych uczuć dopomogło mi do wydobycia się z téj toni. Bystre oko moje dostrzegło, że Olesia na teatrze więcéj, niżbym sobie mógł życzyć, zwracała na nas uwagi. To zajęcie się nami od niejakiego czasu przybrało charakter bardzo niepokojący; czytałem w jéj licu wyraz przychylnéj dobroci; jakąś czułość zadumaną, i coś tak tkliwego, coś tak ulotnego, że wszystko kazało mi się domyślać tajemnéj skłonności, rozwijającéj się w sercu dziewiczém. „Biedne, śliczne dziecię!“ zawołałem sam w sobie, „jakaż nieprzyjazna gwiazda miłość twoją ku jednemu nas skierowała! Ta przynajmniéj nie chce dzielić srogich twoich przeznaczeń! — Examina nadchodzą, a ja dotąd i książki nie otworzył! Rzucę się do pracy! wzgardzę tą przelotną rozkoszą! Od deski do deski przewartuję *Codex juris civilis*, co mówię, dziesięć razy go przeczytam, (horresco referens) nim się zajmę jaką bądź kobietą; cieniu wielkiego Justyniana, wzywam cię na świadka!“

Po téj apostrofie wybiegłem z teatru, a przyszedłszy do siebie, napisałem list z pożegnaniem do Aglai. A tak silne to postanowienie uwolniło mię od niezmiernego ciężaru.

Nazajutrz przed ojcem moim wynurzyłem się z całym planem nowego sposobu życia, co tak ucieszyło poczciwego starca, że mię natychmiast mianował panem swojéj biblioteki, i pięknego pawilonu z weneckiemi oknami, mieszczącego te skarby nauk.

Cały dzień strawiłem na uporządkowaniu mego dobrowolnego wygnania i postrzegłem z wewnętrzném zadowolnieniem, że szczęście nie jednę ma tylko stronę. Co mówię, szczęście czystéj duszy, nie mającéj nic sobie do wyrzucenia, wyższe jest i trwalsze nad wszystkie urojone rozkosze. Szczęśliwy téż byłem do wieczora, pierwszy raz szczęśliwy tak długo.

Wieczór nadszedł, zacząłem ziewać, co kilka minut spoglądałem na zégarek; łoskot loż otwierających się i zamykających brzmiał w mojém uchu; ustawnie mię ścigał pierwszy pociąg smyczka w orkiestrze; nozdrza moje w powietrzu niestety! nadto czystém, naprożno wietrzyły za atmosferą perfum i lamp, a rozkosznego spojrzenia Olesi szukałem po wszystkich pustkach mojéj biblioteki, które na mnie żerkały złoconemi grzbietami tomów.

„Ach! cobym niedał!“ zawołałem wzdychając, „gdybym mógł dociec, czy te znaczące spojrzenia były dla niego, czy dla mnie? Fortunat dziś rano zamówił pocztę, zapewne musi być w drodze. Teraz najlepsza sposobność wyjaśnić niepewność wątpliwą; niech jakikolwiek będzie wypadek téj próby, nic nie zdoła zachwiać mego rozsądnego postanowienia. Od jutra całkiem poświęcę się pracy!“

Tą razą niezawiodło mię przeczucie. Z całém zarozumieniem półgłówka, co wierzy w najniepodobniejszą miłość, ogłaszam, że te spojrzenia były dla mnie, dla mnie jednego. Któż mi może zarzucić, że w niebytności Fortunata byłem dla Olesi owym kamieniem bolońskim, który naciągnąwszy słońca, błyszczy niém w ciemności. Lecz ta myśl ani nie powstała w głowie, z resztą jako nie zły psycholog mogę zaręczyć, że w znaczącym wyrazie téj anielskiéj twarzyczki była jakaś myśl, co się odnosiła do mnie i pragnęła być zrozumianą. Uzbrojony więc bohaterską odwagą, ośmieliłem się ją zrozumieć, i uciekłem z teatru, unosząc w głębi szczęście z rozpaczą.

Nie, nie, Olesiu! nie chcę gwałcić przybytku twéj niewinnéj duszy, obudzając w niéj namiętność zgubną dla nas obojga. Latorośl twoja świeża zbalsamicznem kwiciem zniosłażby jałową pustynię mego życia. A przecież nikt cię goręcéj odemnie kochać nie zdoła! Jabym się zrobił dla ciebie stopniem nóg twoich, arfą twych westchnień, naczyniem twéj woni! Jabym się oczyścił w kraterze wulkanu, nimbym się dotknął wdzięków twoich! precz, precz! sny zapalenia! Olesiu! tyś pani, tyś bogaczka, ty nie zstąpisz z tego szczytu na równię mojéj fortuny; nie! nigdy cię już widzieć nie chcę....nigdy....chybaby djabeł wmieszał się w tę sprawę.

Po téj poetycznéj apostrofie, któréj gminny koniec nie odpowiedział górnemu wstępowi, upadłem osłabiony wybuchem gwałtownéj namiętności, w moje krzesło z poręczami, szczęściem dobrze wysłane i sprężyste. Stara Rozalia postawiła przedemną dwie woskowe świece, zbytek niesłychany, dowodzący radość ojca z powrotu syna marnotrawnego do nauk.

Na chwilę wyszedłem na balkon. Niebo było płynne i przejrzyste, jak jezioro. Tchnienie powietrza zaledwie szemrało w gałązkach topól rosnących pod memi oknami. Słowik, ów melancholijny samotnik, w dalekich gdzieś odzywał się krzakach. Ach! piękny to był wieczór, lecz dla nie takiéj miłości, jak moja! Wzniosły to widok tych sfer krążących w nieskończonych przestrzeniach; lecz jak oczy moje, tak dusza nie mogła zmierzyć ich głębi. Pozamykałem drzwi, pospuszczałem firanki, chcąc się uwolnić od tych ogromnych wrażeń; usiadam do pracy, rzuciwszy raz jeszcze wzrokiem zadowolnienia na ten przybytek nauki. Opisanie onego nie będzie od rzeczy.

W szczęśliwych czasach ojciec mój wystawił ten pawilonik, który z jednéj strony przypierał do domu, a z trzech innych ogród go otaczał. Cały ten budynek składał się z jednéj prostokątnéj sali, oświeconéj z dwóch stron wielkiemi oknami. Podwójne kręcone wschody prowadziły na balkon pierwszego piętra, dół bowiem przeznaczony był na wozownię, w któréj nigdy nie miałem powozu. Wewnętrzne zaś ściany pawiloniku przedstawiały same grzbiety ksiąg i foliałów; pod jedną ścianą stało skromne łoże studenta, a pośrodku stół czarny, zarzucony papierami; do koła niego mogłem więc jak księżyc około ziemi krążyć, to naglejszemi, to wolniejszemi kroki, podług pędu uczuć wewnętrznych. Ileż to ja drogi w tym dniu nieubiegłem!

Zmordowany, przemyślawszy wieki całe, rzuciłem się znowu w krzesło, sięgnąłem ręką w stos książek, a zamiast wyciągnąć jaki traktat o procedurze cywilnéj, schwyciłem księgę o widmach doktora Calmeta, zawierającą najlepszy zbiór figlów różnych i dowcipów szatańskich. „Jakaż to nędzna ramota!" zawołałem przewracając karty téj księgi, „mógłże człowiek tak uczony zapuszczać się w te duby smalone, w te brednie starych bab pod kądzielą! ale szaleństwo jego pokusą jest dla mnie, chciałbym się choć raz spotkać z panem Mefistofelem, mogę go przecież tak łatwo wywołać, mam tu w bibliotece *Klucz króla Salomona i Enhyridion*, w autentycznym rękopismie, drogi zabytek naszego domu; jeźli będzie natrętnym gościem, łatwo go się pozbędę nutą exorcysty. Rozmowa z tym wcielonym bezpiętych, zda mi się, będzie ciekawsza, niż z cieniami Justyniana i wszystkich komentatorów prawa rzymskiego. Wykonanie téj myśli zależało od jednego posunienia ręki, nie wiem bowiem, jakim sposobem ów kabalistyczny cyrograf tuż leżał przedemną. Wyciągnąłem poń drżące palce, jakby samo dotknięcie pargaminu miało mię już potępić! Roztoczyłem zwój, lecz prócz zbutwiałéj woni, nie czuć było siarki, ni smoły. Na dworze panowała jak pierwéj cisza, świece paliły się spokojnie i jarzęco, a tomy nieporuszone stały opruszone warstwą szronego kurzu. To mię ośmieliło, czytam donośnym głosem, wymawiam uroczystą formułę ducha pytania, lecz zaledwie przeczytałem kilkanaście wierszy, zachodzą mi drogę jakieś niepojęte cyfry szatańskie, zygzaki, głoski nieznane w ziemskiém abecadle.

Kto inny, mniéj odemnie zaciekły, niechybnie byłby stracił odwagę na widok tych heroglifów z tamtego świata. Chociaż włos mi się najeżył, usiadłem dumnie i zawołałem: Uczeni! nieśmiertelni kabalistowie, przybywajcie mi na pomoc! użyczcie waszego światła i wykryjcie mi te skarby tajemnic, przed któremi sama tylko niewiadomość drzeć może!....!

I wyciągnąłem foliały ciemnoty wieków średnich z niezmordowaną chęcią zapuszczenia się w błędniki téj dziwnéj nauki, bo żaden trud mię nie ustrasza, jeżeli mię do rozrywki prowadzi. Nie minęło pół godziny, dowiedziałem się, co mi było potrzeba, i kabalistyczny cyrograf wydeklamowałem gładko, a może i bez błędu. Północ biła, jam skończył czytanie, a djabeł, z natury nieposłuszne dziecko, na złość nieprzybywał. Nie zawsze, gdzie go posiejesz, tam ci się urodzi, niezawsze téż i w swojéj zjawia się postaci, a jeźli przybierze jaki kształt uroczy, wtenczas najmniéj mu ufać, bo djabeł spekulant, tylko za pewnym goni zyskiem.

„Trzeba przyznać," rzekłem, rozciągając się w krześle, „żem na wielką grę stawił. Cóżbym też był począł, gdyby mi się był pokazał, pytając podług swego zwyczaju, głosem grubym i chrapliwym, czego żądam od niego? Nikt bezkarnie djabła nie używa! Jego pytań nie można zbyć milczeniem, ani też odprawić go, jak natręta miejskiego, udając za drzwiami głos lokaja, że pana niema w domu. Jakiéjże łaski miałżebyś żądać od jego piekielnéj potęgi, w zamian za biedną moją duszę, którą jak dukat obernięty cisnąłem na stolik zielony. Miałżebym żądać pieniędzy? I na cóż? w przeszłym tygodniu tak mi szczęście posłużyło w djabełka, żem nietylko pospłacał wierzycieli, ale i sakiewkę dobrze utuczył. Może mądrości?

mam jéj tyle, ile mi potrzeba do codziennego użytku, a od pedanteryi, Boże mię zachowaj. Potęgi? cóż mi po niéj, kiedy się okupuję ceną spokoju i szczęścia. Może władzy prorokowania? Zgubny dar, który trzeba opłacać wszystkiemi słodyczami nadziei i rozkoszami niepewności. A jednak, a jednak mruczałem półsenny, gdyby mi pokazał tego anioła, Olesię, tak świeżą, tak białą, tak rumianą. Ach! panie djable, przystąpmy bliżéj do rzeczy. Gdyby Olesia w nieładzie, lękliwa, drząca, z włosem roztoczonym w pierścienie na szyję, na łono nie zakryte żadną chustką, bijące wysoko, prędko.... gdyby Olesia ot teraz biegła po wschodach, tu do mnie; gdyby do drzwi bojaźliwie zakołatała rączką, co to chce i nie chce być słyszaną; gdyby mię doszło to trzykrotne...puk...puk...puk!“

I sen ogarniał mię na poły, i usta powtarzały mimowolnie: puk...puk...puk!...w końcu zdrzémałem się na dobre. Puk... puk... puk!... co słyszę? cudzie niepojęty! odgłos ten niepochodzi już z krain zmysłów drzémiących; teraz sobie nie wierzę, czy śpię, czy nie śpię? i kąsam własną rękę, abym się przekonał, że czuwam. — Puk, puk, puk... Ktoś puka! krzyknąłem, drząc jak sucha wierzba. Zégar mój wybił pierwszą.

Puk ... puk ... puk ... Zrywam się, lecę jak szalony i zbieram rozstrzelone zmysły.

Puk ... puk ... puk... Schwyciłem za świecę, i odważnie posunąłem się ku drzwi balkonu; otwieram. O zgroza! Nigdy przyroda nic zachwycającszego nieobjawiła oczom kochanka; zdało mi się, że umrę ze strachu.

Była to Olesia, tuląca się do drzwi śklannych, piękniejsza niż ją dotąd widziałem, piękniejsza niż wszystkie sny moje. Olesia bojaźliwa, drżąca, w nieładzie, z włosem rozwianym w pierścienie na szyję, na łono nie zakryte żadną hafteczką, bijące wysoko, prędko... złożyłem jak pokutnik dłonie, poleciłem się niebu i otworzyłem. Ach to była ona z duszą i z ciałem, to jéj pulchna utoczona rączka, to jéj rączka drząca; dotknąłem się i nie sparzyłem się; pomięszaną, chwiejącą się na nogach, zawiodłem aż do mego krzesła i czekałem skinienia lub słowa. Widmo wsparło rękę na poręczy krzesła, a głowę na dłoni, i czoło przysłoniło pięknemi palcami. Czekałem, póki co mówić nie zacznie, lecz miasto słów wzdychała tylko.

„Wolnoż mi panią zapytać,“ (ośmieliłem się wszcząć rozmowę) „jakiemu niepojętemu szczęściu winienem tę wizytę, tak niespodziewaną, tak....?“

„„Tak niespodziewaną!““ przerwała z żywością. „„Cóż waćpan znajdujesz w tém niepojętego! nie byłażto rzecz umówiona?““

„Umówiona; tak, w rzeczy saméj, umówiona, chociaż téj umowy nie zawarto podług wszystkich formalności przyjętych w podobnym razie, i chociaż na szali Temidy straci na téj prawności, jaką jéj pani przyznajesz. Bo téż w schorzałym umyśle, którego miłość zbłąkała, nieraz tak dziwne pomysły się rodzą! Z resztą, przyznaję, żem ani się spodziewał szczęścia.... które spada.... — —“ Język mi się splątał, nie wiedziałem co mówić...

„„Rozumiem cię panie, rozwiązanie odstrasza cię od przedsięwzięcia. Nawykły do świetnych, lecz łatwych zwycięztw, nigdyś nie badał, do jakich poświęceń prawdziwa miłość jest zdolna....““

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Doniesienie literackie.

P. Domejko zostawszy od kilku lat professorem mineralogii w Quito, w Ameryce południowéj, liczne odprawia podróże naukowe po Kordelierach. Piękne jego odkrycia zwracają uwagę uczonych. Niedawno zebrał znaczną ilość skamieniałości trzeciorzędnych pod Quito i posłał je do Paryża do Alcide d'Orbigny, który nowe gatunki w wielkiéj swéj podróży do Ameryki południowéj opisał i jeden z nich nazwał Pecten Domejkianus.

Sprostowanie. W przeszłym Nrze. na stron. 126 w. 6. od dołu zamiast et czytaj **es**; wiersz 20 zam. explanatis czyt. **explanatio**.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w poniedziałek. Prenumerata, wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich królewskich poczthamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *E. Günthera* w Lesznie.